Należytość pocztową opłacono ryczałtem.

PISMO MŁODYCH RUCHU AGUDAT HANOAR HAIWRI „AKIBA".



CEIRIM

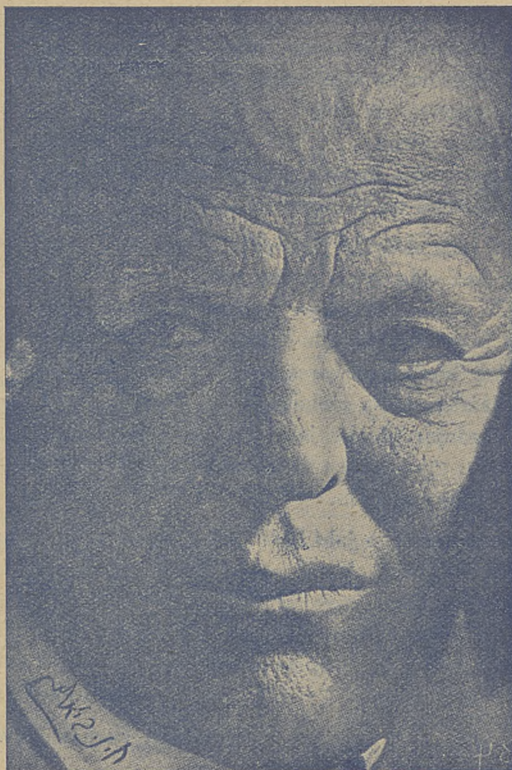
ROK 5. TOM I.

Nr. 17/18

1 sierpnia 1935 | Kraków-Lwów-Warszawa | 14 Aw 5695

Abonament kwartalny zł. 1. | Cena egzemplarza 20 gr

Adres Redakcji i Administracji: Kraków, Jasna 2.



CH. N. BIALIK

PO MOJEJ ŚMIERCI

Pamięci N.

„...Tak mnie po śmierci opłakujcie:
„Człowiek b y ł — i j u ż go niema...
Przed czasem umarł człowiek ten,
I pieśń jego życia przerwana jak sen...
A jaki żal! bo jedną jeszcze piosnkę miał —
Do końca ją dośpiewać chciał
I zamilkł!

A jaki żal! bo lutnia jego
Była żywa i dźwięcząca.
A gdy poeta na niej grał —
— Uderzał w struny ręką drżącą —
Całego serca tajemnice
Wygrywał na niej
Kiedy chciał.
Lecz jedną jeszcze w sercu swem
Głęboko ukrył przed swą lutnią...

A jaka szkoda, jaki żal!
Przez całe życie struny grały,
Za pieśnią tęskniąc, patrząc wdal —
I pocichutku ciągle drżały.
Jak kochające serce,
Każdego dnia czekały,
Wydając głuchy jęk.
Lecz upragniony dźwięk
Nie przyszedł!...

A jaki ból, a jaki ból!
Bo człowiek b y ł — i j u ż go niema,
I pieśń jego życia przerwana jak sen.
Bo jeszcze jedną piosnkę miał —
Do końca ją dośpiewać chciał
I zamilkł".

(Przekład Pereca Nowomiasta).

WIESZCZ NARODU

Wloką się szare dni w golusowych miasteczkach żydowskich. Stary Bet-Hamidrasz chyli się i grozi ruiną — wokół przykucnęły spleśniałe, zgrzybiałe domki, poprzerzynane wykrzywionemi, ślepemi uliczkami. Tysiącem trosk osnuł się ten mały, zamknięty świat — trosk, co czoła rozorały jego cichym, szarym mieszkańcom. Zapomniano o snach i marzeniach niespełnionych — przydeptała je walka o chleb. Nie zaginęły jednak. Bunt zrodził się w miasteczku, bunt przeciw szarudze i małoduszności życia. Wstali młodzi, co pożar rozniecili w tym wykrzywionym, zgrzybiałym świecie — później mury zaczęto rozwalać. Blask się wdarł oślepiający do wnętrza. Oni — dalej poszli, parci nieuświadomioną tęsknotą za innem życiem. Skrzydła rozpostarli do lotu i — ucieczki.

Jeden pozostał.

●

Cicho płacze. Pozostał samotny, jak ptak nocny na ruinach. Ból w nim się żarzy i cierpienie i żal za czemś, co przyjść miało, a nie nadeszło. Płacze lutnia samotna i jedyna: — Matką mą jest sieroctwo i troska. Gdzież jest ma młodość? Pochmurnie przeszła obok, jak zima przedwczesna, — serce tęskniło i z bólu w strzępy się rwało, do buntu wzywało i do ucieczki. Ach, jak płaczą mury starego Bet-Hamidraszu. Otoczyło mnie kolisko mych braci — pytał mnie niemo ich wzrok: I ty nas opuszczasz? — —

Szloch pierś moją rozdzierał. Młodość, miłość, duszę całą im ofiarowałem — narodowi —

●

Stał się jednym z ludzi bezdomnych — człowiekiem, którego domem jest naród — społeczność. Widział, jak w przepaść runęli ci, co się ucieczką chcieli ratować, co światła szukali u obcych. Skrzydła obcięli, pokłony bili na nieswoich progach. On czuł, że wolność należy wykrzesać ze siebie, z własnego wnętrza. Wyzwolił się. W pieśń uderzył bojową, co wizję wyczarowała wolności narodowi tułaczy, — pieśń, co echem rozprysła się tysiąckrotnem po całej diasporze, co do walki wzywała o Wyzwolenie dla ciał i dusz. Sercem własnem ognisko wskrzesił, co nowe drogi miało oświetlać.

●

Przyszły dni inne. Gromada zbirów i siepaczy strugami krwi zmyła żydowskie miasteczka. A gdy minęła zgroza pogromowych nocy — — —

Cóż to? Po norach skryli się synowie Makkabeuszy. Stary Żyd zgarbił się jeszcze bardziej, — o czci własnej zapomniał. Wstał Żyd — niewolnik, niski i podły, kramiki swe otworzył nazajutrz,

jak pies skopany prosi pana swego o zmiłowanie, rany cuchnące zamienia w brzęczącą monetę jałmużny.

Lew zagrzmiał. Wyśpiewał, nie — wykrzyczał, wyrwał ze swej piersi bólem i krwią wykołysaną pieśń o pogromie i pieśń o niewolnikach, którym on swą duszę i jestestwo ofiarował.

Póniej z jękiem pękła pierwsza struna lutni.

●

Budowano starą ojczyznę. W trudzie i znoju wznoszono gmach, krwią i potem cegły spajano. Lecz i stary niewolnik egipski czekał, — i przyszedł. Kupczyć począł, kiesę złotem nabijać, niewiarę szerzyć. Pryskały „ideały", jak bańki mydlane tam, gdzie złoto szeroką płynęło strugą.

On — milczał.

Struny były zerwane.

●

Sam je rwał i targał w najwyższym bólu człowieka, którego zdradza ukochane dziecię. Sam je targał w pieśniach gniewu i skargi bolesnej, gdy widział naród w małoduszności jego, gdy krzykliwie sprzedawano w kramikach to, o co walczył i cierpiał.

●

Słońce życia chyli się ku zachodowi.

Mija pokolenie pustyni.

Skarżył się, że nie dośpiewa swej pieśni, co tęskniła za Wyzwoleniem, a niema pozostała do końca.

●

Pieśniarzu, my ją dośpiewamy!

Ben-Dow.

SKĄD ME WESTCHNIENIE POCHODZI

Dzieciństwo Bialika nie różniło się od dzieciństwa miljonów dzieci żydowskich. Było naturalnem dla całego ówczesnego pokolenia.

Niegdyś zamożni rodzice, staczają się powoli na dno nędzy. Ojciec umiera, matka pozostaje bez środków do życia, obarczona rodziną. Musi wziąć się do pracy zarobkowej, staje się sprzedawczynią owoców na ulicach miasta.

„Boże! — westchnęła kobieta — wspomóż mnie biedną, bym nie upadła, wdową ja tylko.

„Nakarm pisklęta me nędzne, jak robaki ziemię toczące — bo sił nie starczy twej słudze!"

A gdy wracała pod wieczór do domu „grosze przeklęte, krwią

serdeczną zbroczone, w swej dłoni ściskając", rozbita i złamana „do północka ogarka nie gasiła, a ręce starcze pociemku naprawiały". Wzdychała wtedy nieszczęsna, aż serce się dziecku-poecie krajało.



Gdy świt tylko szarzał za skrawkiem szyby w oknie, budziła się matka, by przygotować śniadanie dla swych „piskląt" maleńkich. I znowu westchnienia wraz z łzami spadały w ciasto i pulchniły je.

„A gdy dzieliła ciepłe śniadanie dzieciom, z pieczywa swojego, z chleba łez swoich — połknąłem i ja swą część, a westchnienie na wieki w kość mą się wdarło".

I niejednokrotnie wypływają te łzy z wierszy poety, gdy o swym rodzinnym domu pisze.

◆

CH. N. BIALIK

MÓJ POWRÓT

(Z hebrajskiego przełożył Salomon Dykman).

Znów przedemną: zwiędły starzec —
Twarz pożółkła, jak pergamin...
Cień bladawy nad lichtarzem
Smutno ślęczy nad księgami...

Znów przedemną: zwiędła baba —
Tka, ceruje — pełna skargi —
Klnie — złorzeczy, jak z rękawa
Mruczą sine, starcze wargi...

I jak dawniej tam, pod ławą
Kocur bury drzemie w ciszy —
I w marzeniach śni obławy
Zwinnych, małych — szarych myszy...

I jak ongi tam, gdzieś w mroku
Nici drżą pajęczych tkanin —
Trupy much odętych wloką
Pod sufitem — nad oknami...

Ejże bracia! stare graty!
Dzieje stare — głupio — głucho,
Otom wrócił z krain świata —
Gnijmy razem w tym zaduchu!...

BIALIK DZIECKIEM

(Z opowiadań przyjaciela poety).

„Arjego brutala" *) poznaliśmy rzeczywiście. Był to gburowaty Żyd, „brutal", który w nas, uczniach Bet Hamidraszu wzniecał trwogę swojem dziwacznem postępowaniem, rubasznym głosem i gestykulacją. Szczególnie jedną czynność zwykł był powtarzać stale: Przychodził do Bet-Hamidraszu, brał wiadro zimnej wody, która służyła nam do picia, nalewał do miedzianej miednicy, mył ręce i chłeptał ją później, jak wół, nie zostawiając ni kropli dla nas. Aż raz zwrócił się do nas Chaim Nachman: „Słuchajcie, chewraja! Gdy tylko ujrzymy nadchodzącego Arje-brutala do Bet-Hamidraszu, wypijemy szybko wodę, resztą umyjemy ręce, a i dla niego zostawimy odrobinę". Baliśmy się ciężkiej ręki Arjego, ale Chaim Nachman stał nad nami i przyspieszał: „Pijcie jeszcze, jeszcze. Wszak Tora mówi: I sporządzisz kijor **), by się w nim myć. A tu ten gbur postępuje wbrew Pismu i używa miednicy do mycia i picia?...

KU PRZYRODZIE

1.

Jest mała wioska wołyńska, Rady, gdzie poeta-dziecko uczył się u matki-przyrody życia. Roztęsknione, choć figlarne oczęta zbiegłego z chederu bachura toną w morzu rozkołysanego wiatrem zboża. Opodal szumi prastary bór, a tam wewnątrz, pomiędzy gestwą dzikich, poplątanych konarów, w zabłąkanym i zapomnianym ostępie leśnym, ukrywa się tajemnicza córa marzeń i snów: — staw źródlany, z samotną, zielenią otuloną wysepką. Nic tu nie przerwie majestatycznej ciszy, — w dali pozostał pogwar i śmiech pędzących po łąkach i siołach, rozhasanych, roześmianych zefirów — rannych towarzyszy poety. — Tutaj cisza, tu jeno Miłość panuje, co świat wszechwładnie swemi ogarnia ramionami.

---

*) Tytuł jednej z dłuższych nowel Ch. N. Bialika.
**) miednicę.

2.

Gna wciąż naprzód nieubłagany czas. Figlarne oczęta pokryły się troską i zwątpieniem, nauczyły się smutnej mądrości życia. Co za nieukojony żal! Nie sposób już hasać wespół z zefirami po polach, ni klęczeć nad zaklętym stawem, by w głębi ujrzeć nowy, ukochany świat naopak. Teraz oczy jeno pożerają chmarę czarnych, pokracznych literek, co obsiadły żółto-szare karty starych foljałów. O, wyzwolenia! —

Wyrwał się z Bet-Hamidraszu — w pole poszedł, nie jak ptak, co się z klatki wyrywa, lecz jak bezsilny, skopany pies. Zaszumiały złote łany dostałych zbóż, — kroczy poeta ścieżką, polnem międzymorzem pośród złotych fal. Jest cisza wieczorna; ogromne, czerwone słońce stacza się ku zachodowi.

— Przylgnę mą twarzą do prochu, na zwilgłą padnę ziemicę,
Spytam się matki mej ziemi, płacząc na łonie gorąco:
Powiedz mi, matko ma, ziemio potężna, szeroka, ogromna —
Czemuż — to nie nakarmisz twą piersią mej duszy pragnącej?...

Jak nędzarz przed majestatem stanę twych źrzałych zbóż
Poznałem ubóstwo moje, — nie moja ci to niwa
Kłosy, nie moje was dłonie w troskliwej siały pieczy
Nie moja ta praca była, nie moje będą żniwa...

Na skrzydłach wieczoru przypłynęło wezwanie do kraju, gdzie wolno było pracować na własnej ziemi. Tam poszedł.

B. T.

CH. N. BIALIK

Z PIEŚNI ZIMOWYCH

(Tłum. Salomon Dykman).

Hej! na ziemię dziś twardy dzień Bóg ludziom zniósł —
Skrzepły dzień, mocny dzień — biały szron, lód i mróz.

Cały świat w mrozie zbladł — śnieżny wicher i chłód
Jakby światło z powietrzem, jak czart, w kulę splótł.

Hej! chyba się rozprzęgł nasz glob przez tę noc,
Ale Stwórca weń walił w swej kuźni, jak w kloc.

I rozhuśtał Swój młot i potężny dał cios,
Jakby w moc mroźną zaklął ten świat pański głos.

Całą noc ziemi krąg wprawił Bóg w ognia tan
I potęgę Swą całą nań przelał nasz Pan...

I narodził się w słońcu dzień luty, jak żar,
Wrażą moc tego ranka on w łonie swem zwarł...

I śnieżny blask w górze rozłyskał nam mróz ,
Wszak to Stwórcy jest tchnienie i dech Jego ust.

A światło swe sączył w przepychu nasz świt —
I bez ciepła się święcił, a blask w mrozie kwitł...

I bez końca rozświecił nam biel śnieżny wiew
Od ziemi do nieba — od chaty do drzew...

I jak sito świetlane, jak kwiat — mleczny śnieg
Jako szkło przeźroczyste — ozdobne dziś legł —

A dachy, jak hełmy z marmuru pod blask
Dziś białawą modrością świeciły wśród nas —

I błyszczą na słońcu — hen, w dal, w niebios próg —
A gdzieniegdzie śród bieli zaczerni się kruk,

I kraczą i dziobią pod mróz mleczny szron —
Lecz tu znika w oddali, jak sen, stado wron...

Dym z kominów falistą swą brodę już śle,
Jako wstęga się wije i niknie we mgle...

I znów lód, mroźny żar — wszędzie jarzył się, lśnił
I w serce każdego z nas tchnął pełnią sił.

I jasny i krzepki był świat — mrozów król,
Bo sam się okiełznał i moc w tem swą czuł...

Z nadmiaru potęgi i mocy, jak lew
Tak się prężył dziś bór śród olbrzymów swych, drzew.

Jakby w pęta żelazne ktoś straszny dziś sprzęgł
Wszystkie moce piekielne na ziemi, że jęk

Da się słyszeć tych sił, czyhających z swych wnęk
Jeszcze błysk — jeszcze zgrzyt — by świat cały pękł...

I w sercu człowieka potęga się budzi —
Chłód — jasność i ufność ogarnia dziś ludzi.

I wzmaga się moc — potężnieje i rośnie
I szumi krew, płynąc w mych żyłach radośnie...

I ciasno tej sile w mych piersiach i ciemno
Więc serce rozwali i tryśnie nademną

I twarz w ogniu gore, a mięśnie się prężą
I dumnie dziś kroczę i rzeźko i mężnie

I wdycha dziś każdy ten lód, biały mróz,
I stal w serce spływa, jak tchnienie do płuc.

I dłoń tedy silnie w olbrzymią pięść zwija
I żądza potężna w tej dłoni się kryje.

Pięścią tłuc z całych sił, żeby prysły jak grad —
Mroźne niebo od gór, a tu biały świat.

I prze ludzi moc i w serce ich wali
I więzy rozrywa i krew burzy, pali.

Do sani się rzucą, za cugle pochwycą:
„Z orłami nas w bezkres dziś powieź, woźnico!"

Hen, w dal, gdzie czerwienią zakwitnie nam lico
I młodość i żar pryśnie w proch pod śnieżycą.

„HAMATMID"

Gdy wyjdziesz samotny nocą w miasteczko żydowskie, błyszczą ci przed oczyma z poza niedomkniętych okiennic nikłe światełka i uszu twych dobiegną melodyjne głosy, ciche, przytłumione, jakby zamierające. Przez szpary zobaczysz cień ponury, cichy, chwiejący się w osamotnieniu i poznasz matmida przy nauce bożej.

W tym domu, w ścianach tych zawarł sześć lat swego młodego życia, tutaj więdł kwiat jego wiosny młodzieńczej.

Sześć lat minęło, gdy ostatni promyk słońca musnął jego twarz bladą. Pajęczyna oplotła okna, brud osiadł na ścianach, a on zagłębiony w księgach, uczy się. Głód? Bezsenność? Słabość? Czem one dla niego, zatopionego w słowie bożem, hartowanego wzlotem duszy przeczystej. Nie wie-ż on, jak dawniej uczono się Tory?!

Lata minęły nad nim, jak sekundy maleńkie. Doświadczenia tłoczyły się dokoła niego, a on ich nie widział, zmieniali się uczniowie — ten rabinem został, tamtego za niedozwoloną grę w karty wygnano; ów wreszcie na ślubny kobierzec wstąpił — przyszli nowi w ich miejsce. On jeden tylko, niewzruszony tkwi w swym kącie przy mdłym ogarku, nad świętemi księgami.

Nikt nie wiedział, skąd on i kiedy opuszcza, czy przychodzi do Bet-Hamidraszu i swój kąt zajmuje. Blade promienie księżyca lub jutrzenka świtająca w pomrokach nocnych, — one jedynie świadkami były, gdy wracał zamknięty w sobie, do pracy bożej.

I zdawało się wówczas, że zły szatan wybiegał, hasając na skrzydłach powiewów letniego wiatru i zwodził go srebrzystym poszumem drzew. A powieki zmęczone, jakby z błaganiem zwracały się do niego: „Zlituj się nad nami. Oczy twe czarne gasną nieszczęsne, zmęczone, lecz z tobą czuwać wciąż muszą. Nie wyspałyśmy się nigdy do syta, spocznij wraz z nami, choć raz jedyny".

Młodzieniec przesuwa ręką po oczach, przyspiesza kroku — otrząsnąć się musi. A trawa soczysta i miękka, kwiaty stubarwne w ogrodzie, gwiazdy na nieboskłonie głębokim, zżęte siano z pól dalekich — jakby sprzysięgły się na chłopca z jesziwy. Oddycha młodzieniec pełną piersią, oczy rozwiera szeroko, usta bladokrwiste rozchyla, rękoma wiatr chwyta, jakby rzec chciał: „Unieś mnie wietrze, ciasno mi tu, ciasno — sił brak". Jak błyskawica przylatuje jednak myśl o obowiązku. Ryją się w mózgu słowa nagany. I prędko ucieka przed grzechem śmiertelnym.

W posiadanie obejmuje swój kąt. „Hoj, hoj! Amar Rawa, tanu rabanan! *). Znikły pola ze skoszoną trawą i promyki różowej jutrzenki, zlały się w monotonny głos chłopca. W półmroku pokoju rozpłomieniły się oczy bachura.

Tak płynie dzień za dniem, a chłopiec, jak więzień strzeże swych kajdan, zamyka swą duszę kryształową w pożółkłe karty Gemary — na zawsze.

●

I czasem gdy wzbierze serce jego żalem za szczęściem dalekiem, ból rozpiera go bezgraniczny, usta szepczą słowa nie z Gemary zaczerpnięte. Wieczne słowa w treny żałosne się zamieniają i płacze, wije się i korzy głos jego cichy. Czyż wie nieszczęśliwy, że los jego czarny?

Nieszczęśliwy? Dlaczego? Któż tego dowiedzie? Czy nie daleko sięgają krańce Tory? Czy przestrzeń wieków za ciasną mu była? A czyż nie rozświetliło światło słów bożych ciemności jego duszy? Potężny świat ducha rozwiera powoli swe podwoje przed

---

*) Rzekł Rawa, jak uczyli rabanan!

nim, wita go w swych granicach i cóż, że świat ludzi daleki mu, zamknięty dlań? Już dwie księgi zakończył! Wszyscy z zazdrością spoglądają na szczęśliwca. Dwie księgi mądrości przez sześć lat nauki! Czyż wielu jest takich, którzy szczęścia podobnego doznają?

I jemu błyska z oddali niejednokrotnie szczęście promienne, wzamian za stracone lata młodości niepowrotnej. Gdy wróci w dom rodzinny ze smichą *) w zanadrzu. Ileż radości go czeka, wesela! Z jakim wszyscy podziwem witać go będą. Uczony. —

●

Dawniej, za młodu jam te głosy słyszał;
Te szare postaci obok mnie wszak stały,
Rozorane czoła, wyblakłe oblicza
I cichy, niemy wzrok — o litość błagały.
A każde spojrzenie cicho mi szeptało
O ogniu uczuć, co zgasł, przydeptany.
I każde spojrzenie sumieniem wstrząsało,
Otwierało serca krwią cieknące rany,
A gdy głos ich wspomnę — serce mi się porze, —
Głos co jak jęk rannych nocą cicho płacze;
Bunt się rodzi w piersi: Ach, Boże mój, Boże!
Dla kogóż to giną ci niemi tułacze?

CH. N. BIALIK

DO AGADY

(Tłum. Salomon Dykman).

O karty talmudu pożółkłe i zmięte —
Legendy snujecie prastare...
Gdy żal srogi duszę spłakaną opęta,
Pociechę z was spijam i wiarę...

W szczelinach zapadłych — w ciemności i w mroku
Poczwary skrywają się małe —
Tak wasze głębiny są dla mnie opoką,
I twierdzą dla duszy zbolałej...

W krainie ponurej, w noc głuchą i ciemną
Z was nowe jaśnieją niebiosa —
I światłość niebieska wytryska nademną,
Na serca mi spływa, jak rosa...

---

*) niejako świadectwo ukończenia jesziwy.

Ja tedy zaniecham marności, i w cieniu
Ukrywam się stron waszych bladych —
Tam, płacząc, me serce ukoję w zbawieniu
Na łonie pradawnej Agady.

O, słaby jam jest pośród ludów i biedny
I płakać nie dadzą dowoli —
O, dajcież łzy oczom gorące — a w jednym
Ja płaczu mym skonam w niedoli...

I ja lutnię miałem — lecz dawno w milczeniu
Na wierzbie zwiesiłem ją smutnej —
O, wiele płakałem i w łez mych strumieniu
Spłynęła strzaskana ma lutnia...

O, cytro hebrajska — wszak wieki się mienią
Przeszłości Judei w twej pieśni —
Król Dawid Jehowę oglądał w twem pieniu —
Salomon Sulamith swą we śnie...

Pomarli już króle. Harf niemasz i lutni
Zamilkły radosne gdzieś trele...
Harfa ma płacze — zawodzi okrutnie,
Jak ja nad wodami Babelu...

Hej, byli ci ongi w Babelu lutniści
I cuda im przędły ich duchy —
Każdy dźwięk znali i płacze rzęsiste
I pieli i nieśli otuchę...

I znali myśl ludu swojego i duszę,
Jego radości i drżenia —
Duch Boży strunami ich harfy poruszał
I spłodził Agadę w natchnieniu...

Więc zawsze, gdy żałość me serce zalewa
Me skrzypce — Agadę nastroję
I płaczę na lud mój — zbawienie mu śpiewam
I gram i me żale ukoję...

I czuję, że naród mój wielki, potężny.
W obłoki hen, dumnie się wzbija —
Choć nikły — on kiedyś i niebios dosięże
I chwałą się wieków okryje...

NIE GNUŚNIEĆ W NIEWOLI

Przyszedł Bialik do narodu, gdy się rwał do wolności. Już dłużej niesposób było dźwigać kajdany. Coś zakotłowało w narodzie. Coś rwało się do czynu. Wtedy stanął przed narodem Wieszcz.

Wolność!

●

Pierwszy Kongres Sjonistyczny.

Bialik — rozczarowany. Mała garstka Żydów przybyła na Kongres. Tak mało ich okazało się gotowymi, by nieść narodowi wolność. Całe masy gnuśnieją jeszcze w niewoli i tęsknią do jadła egipskiego.



Bialik chłoszcze.

Straszny jest w tem biczowaniu. Nie zna granic. — Trupem — nazywa naród żydowski. Bo czyż żyje naród, którego odgłos szofaru zbudzić nie może, którego wolność nie woła, nie porywa? I pyta w zwątpieniu:

— Czyż powstanie zmarły?

Lecz sam nie rezygnuje. Budzi lud uśpiony i nie chce zamilknąć, póki z letargu nie wyrwie go doszczętnie.

Jehuda.

CH. N. BIALIK

DO PTASZYNY

(Tłum. Salomon Dykman).

O witaj mi z ziemi gorącej, ptaszyno!
Pod okno me wracasz znów z wiosną —
Stęskniłem się w zimie w tej szarej krainie
Za twoim szczebiotem radosnym...

Więc śpiewaj, kochanie, o kraju bajecznym —
O cudach krainy z za morza —
I powiedz, czy tam — hen — pod niebem słonecznem
Tak samo nieszczęścia się srożą?

A może od braci dalekich w Syjonie
Serdeczne mi ślesz powitanie?
Ach, wiedząż, szczęśliwi, o ileż łez ronię
I cierpię tu — smętny wygnaniec?...

Czy znają, spokojni, ze wrogów bez liku
I katów tu na mnie nastaje?
O, śpiewaj o ziemi i zanuć słowiku
O wiośnie wieczystej w mym kraju!...

Czy niwy ojczyste nie dają ukłony?
I góry śnieżyste — doliny?
Czy wrócił Pan niebios do Swego Syjonu —
Czy jeszcze w nim świecą ruiny?...

A brzegi Saronu? Czy kwitną ugory
Myrrami, kadzidłem pachnące?
Czy zbudził się Liban, pan możny śród borów
I śnieg rozbielił na słońcu?...

Czy rosa, jak perły na Hermon, czy w żalu
Jak łzami żałośnie tam płynie?
Jak Jordan błękitny? Jak modre w nim fale?
Jak góry w mej jasnej krainie?...

Czy prysły już na nich chmur szarych zasłony
I jaśnią już w chwale, w radości?
O — śpiewaj ptaszyno, o ziemi wyśnionej —
Tam Ojców mych bielą się kości. —

Nie zwiędłyż-li kwiecia mą dłonią sadzone,
Jakom i ja zwiędł w niedoli?
Hej, pomnę ja czasy, gdym kwitnął jak one —
Lecz teraz... jam stary... bez woli...

Więc zanuć słowiku — cóż krzewy szumiały
I co ci ich liście prawiły?
Czy dni ci śpiewały nadziei i chwały,
Wesela i życia i siły?

O braci mi śpiewaj, siejącej ze łzami,
A żnącej radośnie — bo żal mi...
O — daj mi twe loty, a spłynę z chmurami
Do ziemi daktyla i palmy...

A ja cóż ci powiem, ptaszyno kochana —
Cóż tutaj chcesz słyszeć — maleńka?
Tu, w mrozie, w śnieżycy nie pieśni świetlane,
Lecz treny żałobne i jęki...

Więc o czem ci mówić? O bólach i znoju,
O starej, jak świat mej niedoli?
Któż zliczy, kochana, nieszczęścia, łzy moje
I męki wygnańca w niewoli?

O leć więc, ptaszyno w twe góry, pustynie
Tyś szczęsna, bo rzucasz me strony;
Ach, bądź ze mną chwilę, a strumień łez spłynie
Z twych ocząt na los mój stracony...

Lecz żale i treny nie zgoją mej rany —
Zadość w mem nieszczęściu łez ronię.
Już oczy od szlochań czerwone, spłakane —
A serce me w płaczu już tonie...

I wyschły łzy wszystkie i niemasz zbawienia,
Lecz boleść i żal nie ustanie —
Więc witaj ptaszyno i zanuć, twe pienia
A głośno, radośnie — kochanie!

UŚMIECH PRZEZ ŁZY

Jak u każdego wielkiego poety, tak i w twórczości Bialika wybija się wielki okres nawrotu do l u d u. Lud, jego prostota, bogactwo uczucia, mnogość form i tematów — musiały pociągać Bialika, miłującego piękno.

Lud, każdy lud bogaty jest w najrozmaitsze barwy. Pod wielu jednak względami lud żydowski przewyższa wszystkie inne narody. Cała gama kolorów, od religijnej ekstazy i radości — do nędznego życia w ghecie, od sielankowego życia chłopa żydowskiego — do rzekomej „inteligencji" małomiasteczkowej, — zlewa się w jeden obraz ludowości żydowskiej. A Bialik umiał podchwycić najbardziej charakterystyczne cechy tego obrazu.

Poeta naszkicował sobie obraz małego miasteczka żydowskiego: „Minjan", baalej-batim, jednoręki szewc, ślepy łaciarz, żołnierz połamany — szczątek świetnej armji Mikołaja — oto elita miasteczka i reprezentacja jego wspaniałości.

A wiecie, czem się trudnią ci baalej-batim? Jeden stęknie, drugi ziewnie, trzeci — spluwa. Inny się zbłaźni, gdy się uda, tamten wszystko wymędrkuje, a ów wreszcie handlowałby włosiem świńskiem, gdyby świń nie brakło. A może zna kto artystów miasta Lisztiny?

Jeden talit odziać umie, drugi Torę odczytać, lub na ,szofa-

rze" zadąć, ale trzeci byłby zato świetnym gospodarzem, gdyby goście byli...

I tak dalej i dalej, aż obraz miasteczka staje się pełny. Niby na śmiech obliczona tu ironja, ale w rzeczywistości — przez łzy śmieje się Bialik. Ranią duszę poety te wady małomiasteczkowego



życia, boli go to ogromnie. Stara się dać ujście wezbranym uczuciom i śmieje się... płacząc gorzko. Ten sam motyw przewija się przez humoreski: „Tomar: ehje raw..." „Jaakow we Ejsaw" i inne.

Inną zupełnie osnowę posiadają konwencjonalne poezje ludowe Bialika. Tutaj pod zewnętrzną szatą kolorytu lokalnego ludu, kryje się szarzyzna i monotonja osobistego życia Bialika. Nie znalazł Bialik szczęścia w swem życiu osobistem i w rymach ludowych wyśpiewuje najczęściej swój żal, kryjąc go pod pocieszną, humorystyczną formą.

Naiwnie opowiada o przyjaźni, o miłości, wsuwając między wiersze mądre w swej prostocie myśli. Poeta w takich „pizmonot" *) częstokroć lepiej przedstawił swą tragedję życiową, niż w liryce i poważnych utworach.

---

*) poezje jakby ludowe.



PROROK I MĄŻ CZYNU

Jak grom z jasnego nieba spadła na naród żydowski wieść o straszliwych pogromach w Kiszyniewie w r. 1903. Ból, rozpacz, trwoga, chęć zemsty, szaleńcza odwaga — najbardziej sprzeczne uczucia miotały bezsilnym narodem. Zewsząd dawały się słyszeć biadania i załamywanie rąk. Olbrzymią większość narodu ogarnął bezwład. Przemoc święciła triumfy.

I Bialika zaskoczyły wieści o nieludzkich znęcaniach nad narodem. Genjusz poety przebywał w fantazyjnej krainie sielanek i idyll, pociągała go pieśń ludowa, bogactwo prymitywu, — jakgdyby uciekł od narodu, od rzeczywistości, chcąc odpocząć. Niema jednak spoczynku dla poety! Okrutny realizm życia przemocą wyrwał go z krainy wyobraźni, by rzucić go w najohydniejsze miejsce na świecie, w krwawiącą ranę Europy z 1903 — do Kiszyniewa...

Bialik udał się na miejsce pogromu, by obejrzeć „miasto rzezi". Wzruszenie było ponad jego siły. Musiało wyładować się w pieśni. Silnej. Potężnej. Burzącej. I tworzącej. Stał się prorokiem, który napomina i gromi. Okiem wieszcza ogląda roztrzaskane trupy, zburzone domy, zbezczeszczone rodały, zbroczone krwią niewinnych ulice i wszystko urasta w nim w olbrzymi symbol nienawiści. Nienawiść ta dusi go i przytłacza i boli. A przy niej, miast bohaterstwa Jehudy — lwa, nędzne tchórzostwo własnych braci, mężów, a w miejsce świętości — zszargane uczucia, upodlenie. To kramarstwo, frymarczenie ranami, świeżo otwartemi na ciele chorego narodu. To przegniła moralność handlarzy etyki. Ludzi nam trzeba! Pełnowartościowych, którzyby godnie stanęli w obronie sprawiedliwości — shańbionej.

Sprawiedliwości! Oto, czego żąda dusza poety od świata. Świat? O, ironjo! Przecież cały świat gotuje narodowi szubienicę. Tylko kata trzeba — ofiara już czeka! I temu światu rzuca Bialik w twarz: hańba! Hańba, której nikt zmazać nie potrafi. Chyba sam naród żydowski, niewinnie idący na rzeź.

To już ironja, stawiająca Bialika w rzędzie proroków narodu. Jak oni, grzmiał, groził, szydził i płakał. Jak oni, szukał wiecznej sprawiedliwości — i nie znalazł jej.

Przerósł jednak Bialik swych wielkich poprzedników. Na pierwszą wieść o pogromie, zawiązał się Komitet dla zorganizowania samoobrony żydowskiej. Zredagowano odezwę, którą wszyscy podpisali. To już był czyn. Bialik przestał być prorokiem — a stał się mężem czynu. To był odruch wspaniałego serca, które znieść nie mogło krzywdy współbraci.

Bialik — prorok.
Bialik — mąż czynu.

CH. N. BIALIK

NA RZEŹ

Niebiosa! O litość proście nademną!
Jest-li w Was Stwórca i do Niego droga —
Ja nie znalazłem Boga. —
O, módlcie się nademną!
Nic dla mnie już modlitwy — serce jeno jątrzy
Nadzieja zgasła, ręce opadły omdlałe.
Jak długo jeszcze, dokądże? —

Kacie! Oto kark mój! Tnij krwawo!
Pomiataj mną jak psem, wszak topór w twej prawicy —
Cała ziemia jest mi szubienicą.
O nas się żadne nie upomnie prawo —
Płataj więc czaszki wpół i bluzgaj krwią dokoła,
Z czarnej posoki twoja ocieka koszula!
A nikt krwi tej już zetrzeć nie zdoła.

Jest-li Prawda, to niech się ukaże!
Lecz gdy w fałszywym blasku, już po moim zgonie
Prawda zapłonie —
Na wieki jej tron się podważy!
Niebiosa rozpalą zbrodnicze płomienie —
Zaś wy — precz mi z oczu, mordercy
Z krwi niewytartem znamieniem.

Kto pomsty woła, — przeklęty!
Pomsty podobnej, pomsty niemowlęcia głowy
Sam szatan jeszcze nie stworzył. —
Niech padnie krew ta w odmęty!
Niech spłynie posoką, gdzie piekielne stawy!
Niech przeżre w mroku i zwali
Przegniłe świata podstawy!

(Tłum. Ben Dow.).



CH. N. BIALIK

Z W Ó J O G N I S T Y

(Z legend Zburzenia)

Noc całą wrzało morze płomieni i wiły się języki ogniste z wzgórza Bożego. Gwiazdy spadały omdlałe z przepalonych niebios na płonącą ziemię. Czy to Bóg wstrząsnął swym tronem i rozbił na szczątki koronę?

Strzępy różowawych chmur, brzemiennych krwią i ogniem, błądziły w odmętach nieprzejrzanych nocy. I w skały odległe poniosły wieść o bezmiarze gniewu bożego i rozpowiedziały o tem opokom pustynnym. Czy to Bóg rozdarł baldachim swój purpurowy i na wiatr rzucił jego strzępy?

Wstrząsły się w strachu ogromnym skały odległe i drżenie przejęło granice opoki pustynnej: B ó g z e m s t y, W i e k u i s t y, B ó g z e m s t y s i ę z j a w i ł!

Oto On, Bóg zemsty w całej swej potędze. Spokojny w swej strasznej wspaniałości spoczywa na płomiennym tronie, — w samem sercu morza ogni. Szatą Mu purpurowy żar, u podnóża Jego rozfalowane zarzewie. Ognista korona otacza Mu głowę, okrutny tan płomieni szaleje wokół Niego. Nad głową sroży się wichura ognista, co spragniona łyka bezdenne przestrzenie świata. A On, spokojny i straszliwy spoczywa z rękoma na sercu. Spojrzeniem swych oczu roznieca płomienie, podsyca stosy żagwi płonących mrugnięciem powiek. Korzcie się przed Wiekuistym ognie szalejące, korzcie się przed Wiekuistym rwące wichury płomieni!

◆

A gdy rozbłysła jutrznia na wyżynach i czerwonawe opary rozparły się w dolinie — uspokoiły się morza płomieni i znikły języki ogniste z Pańskiego Przybytku, spopielałego na Wzgórzu Bożem.

Zgromadzili się Aniołowie poranni, by jak zwykle dzień święcić. Otwarli wierzeje niebios i rzucili okiem ku Wzgórzu Bożemu: czy już rozwarły się bramy świątyni, a chmura wonnych kadzideł spłynęła z ołtarza?

I zoczyły Wiekuistego Pana Zastępów w majestacie minionych wieków, spoczywającego o rannym brzasku na gruzach. Szatą Jego słupy dymu, a u podnóża popiół i zgliszcza. Głowa zapadła między ramiona, a na głowę tłoczą się smutku góry. Milcząc, spoziera osowiały na ruiny. Żar gniewu wszystkich przestworzy zaciemnił Jego powieki, a w oczach zastygła wielka cisza.

Wzgórze Boże pluje jeszcze dymem. Zwały gruzów i dymiących zgliszcz tarzają się w popiele, a syczące węgle błyszczą, jak stosy rubinów i goreją w ciszy jutrzni wschodzącej.

A i lew ognisty, co dniem i nocą ołtarza strzegł, zagasł — znikł przyduszony. Jeszcze ostatni kędzior ognisty z jego płomiennej grzywy błyska sieroco i kona w ciszy poranka na kupie przepalonych głazów.

Poznali Aniołowie, co Bóg uczynił. Zadrżeli, a wraz z nimi wszystkie gwiazdy poranne; ukryli swe twarze w poły szat, obawiali się bowiem spojrzeć w ból boży.

Zapłakała pieśń tego ranka trenem żałosnym i smętnie rozbrzmiały biadania. W ciszy rozeszli się i płakali i tylko w żalu bezmiernym koił swą duszę, a świat cały łkał bezgłośnie wraz z nimi... A jedno zbłąkane westchnienie, ciche, a głębokie uniosło się z krańca ziemi i w ciszy roztrzaskał się płacz... Pękło serce świata, a Pan nie mógł już opanować bólu. Zbudził się Wiekuisty, zagrzmiał rykiem, jak lew i dłonie załamał. Uniósł się duch boży z nad ruin i ukrył w odwiecznej tajemnicy.

◆

A jutrznia poranna w nieskończonym smutku słała swe promienie na Wzgórze Boże; — z szafirowej toni niebios spoglądała na ruiny, a jej srebrnolite rzęsy drżały w ciszy.

A młody aniołek jeden o smutnych oczach i białych skrzydłach, strzegący pereł łez, ukrytych w kielichu niemego smutku obaczył w jutrzni porannej lok ognisty, szczątek Ariela, błyskotający w konaniu między zgorzałymi głazami na Wzgórzu Bożem.

Zadygotało z przerażenia serce aniołka, by nie zgasnął ostatni płomień boży i nie zatracił się święty ogień na ziemi. Albowiem po wieki straciłby naród boży swą niwę ojczystą i Jego przybytek.

I z jutrzni porannej na skrzydełkach swych spłynął na gruzy, pośpieszył ku ołtarzowi i zagarnął płomień z paleniska, skrzydła rozpostarł i uleciał.

I perła łzy z sykiem spadła z oczu aniołka na zwały gruzów. Jedyna perła, którą utracił aniołek z kielicha smutku niemego, łza wybawienia i radosnej litości, gdyż uratowany został szczątek Ognia Bożego.

We mgle dziewiczej czystości płynął aniołek z płomieniem świętym w prawicy. Z mocą przyciskał go do serca i do warg zbliżał. Jaśniała już przed nim jutrznia, a w sercu biło źródło nadziei i pocieszenia.

I poniósł swój płomień w pustkowie wyspy i złożył go na grani skalnej. Ku wyżynom wzniósł smutne oczy, a z warg spłynęło błaganie:

— Boże litości i wyzwolenia! Nie pozwól, by po wieki zagasł płomień Twój ostatni.

Wysłuchał Bóg modlitwy aniołka o czystych skrzydłach i tchnął życie w płomień; i rzekł jutrzni porannej: „Strzeż córko płomienia tego, jak źrenicy oka, by nigdy nie zagasł.

Bacz, co się z nim stanie.

Stanęła jutrznia na nieboskłonie, naprzeciw nikłego płomyka. Z niemej miłości i z cichej tęsknoty mrugała doń radośnie. I strzegła go na pustkowiu wyspy, a rankiem słała swe błyszczące promienie i blask miłości i pocieszenia.

A młody aniołek, o smutnych oczach uleciał na swą strażnicę, by nadal strzec łzy, ukrytej w kielichu niemego smutku. I wszystko było, jak wprzódy, tylko oczy jego pogłębił smutek, a na sercu i wargach rana ognista paliła, rana, której nikt nigdy uleczyć nie zdoła, albowiem na wieki dotknął jej ogień święty.

(Przekład w wyjątkach z hebrajskiego.
Szimszon).



BIALIK MILCZY I TWORZY

W ostatnim dziesiątku lat pisał Bialik coraz rzadziej, coraz mniej ukazywał się narodowi, jako wieszcz i prorok. Twórczość poetycka Bialika skończyła się jakgdyby z jej najwspanialszym okresem. Od chwili, gdy ukazał się jako prorok, walczący o sprawiedliwość dla narodu — zamilkł. I czekał naród: rychło-li odezwie się wieszcz? Czekał prosty, szary człowiek, kiedy znowu ciśnie w twarz przekleństwo, lub rzuci pocieszenie?

A Bialik milczał.

Ale nie tak było w istocie. Nie zamilkł Bialik i nie złożył rąk, zmęczony pracą. Teraz właśnie przystąpił do największego dzieła swego życia. Chciał stworzyć t.zw. „Hakimus" *).

*) Zbiór, antologja.

Bogactwo literatury żydowskiej odzwierciedla się w Midraszu, Misznie, Gemarze itp. w twórczości Szlomo ibn Gabirola, Abrahama ibn Ezry, Jehudy Haleviego, i innych. Bogactwo to niezaprzeczalne. Na niem właśnie winno kształcić się nowe pokolenie. Należy więc umożliwić młodemu pokoleniu, nowowstępującemu w życie — dostęp do tych starych źródeł, jakiemi żaden naród poszczycić się nie może.

Tego właśnie podjął się Bialik. Przez swój zbiór największych dzieł literatury żydowskiej, opatrzonych odpowiednimi, nowoczesnymi komentarzami, chciał zbliżyć nas do owych wspaniałych zabytków, wiecznie żywych, wiecznie aktualnych. Sam twierdził, że największym poetą, jakiego naród żydowski wydał, był Jehuda Halewi, magiczny władca słowa hebrajskiego. Ukochał go też Bialik i najwięcej miejsca w „Antologji" chciał mu poświęcić.

Nie starczyło Bialikowi czasu na wydanie swego „Kinusu". Opracował tylko początki. Wydał jedynie własnym kosztem „Sejfer Hagada", „Misznę" i przystąpił do opracowania poezji Szlomo ibn Gabirola, Jehudy Halewiego opracować już nie zdołał.

Pracował też Bialik na innem polu. Wygłaszał referaty, podsuwał myśli, dawał inicjatywę eksperymentom — działał szczególnie na polu wychowawczem.

Bialik nie umiał bezczynnie odpoczywać.

BIALIK „SZE-BE-AL-PE".

O KEREN KAJEMET LEISRAEL

(Z mowy na uroczystościach jubileuszowych K.K.L.).

Chcę wam opowiedzieć to, co słyszałem od pewnego profesora. Raz zapytał słuchaczy, ile ziemi trzeba człowiekowi, by stał pewnie i bez obawy. Ktoś powiedział: wystarczy kawałek ziemi dla samych stóp, bo człowiek stoi jedynie na tym kawałku ziemi, na którym opierają się jego stopy. Odpowiedział: tak się ma rzecz, gdy człowiek odczuwa dokoła siebie wielki obszar ziemi, gdy jednak zaprowadzi się człowieka bardzo wysoko, w miejsce, gdzie niema wielkiego obszaru — wiele mu ziemi trzeba, aby nie odczuwał braku przed upadkiem? Odpowiedział sam: Potrzebny mu kawał ziemi tak duży, jak on sam. Człowiek musi odczuwać dookoła siebie obszar ziemi według swojej miary, aby upadając, mógł się na niej zatrzymać i nie zawisł w powietrzu ani jednym centymetrem swego ciała.

Patrzę na ziemię wyzwoloną przez Keren Kajemet i pytam się sam siebie: Czy wyzwolony obszar jest wielkości narodu żydowskiego i czy może on rozprószyć dostatecznie obawę upadku? Na

to należy odpowiedzieć: Nie, szesnastomiljonowemu narodowi o wysokości wiekowej czterech tysiącleci nie może ten mały kawałek ziemi starczyć nawet na stopy. Życzę, szczególnie prezesowi Keren Kajemetu, człowiekowi, który znalazł w swej duszy dość sił w ciągu dziesiątek lat, by zdobyć krok za krokiem ten mały obszar, — aby dożył, a wraz z nim i my dnia, by wybawił tyle ziemi, by jej starczyło ogromowi narodu żydowskiego!

Na fali czasu

W Tel Awiwie zostały już ukończone prace około budowy

POMNIKA BIALIKA.

W rocznicę pogrzebu zostanie uroczyście odsłonięty pierwszy pomnik wieszcza w pierwszem mieście żydowskiem. Tu zresztą wszystkie obchody, związane z rocznicą zarówno Herzla, jak i Bialika odbywają się uroczyście, wspaniale, przy tłumnym udziale całej ludności. Wszystkie budynki jaśnieją bogatą iluminacją, ulice błyszczą wspaniałemi, żałobnemi dekoracjami. Znać, że tu naród obchodzi swą żałobę, naród na swojej ziemi. Cały jiszuw żyje obecnie wielkością chwili, cała Erec obchodzi żałobę po wodzu i wieszczu.

Inaczej u nas, w golusie. Tu w każdem mieście garstka zaledwie, czasem większa, czasem mniejsza oddaje, choć z niemniej głęboką czcią hołd Zmarłym. Dziś właśnie najsilniej odczuwamy, że tam jesteśmy narodem, a tu — mniejszością narodową.

A równocześnie żydostwo polskie, a z niem sjoniści całego świata dotknięci zostali śmiercią

PROF. MICHAŁA BERKOWICZA,

który zmarł w Bielsku w dniu 18. Tamuz b.r. Michał Berkowicz działał na niwie sjonistycznej od wielu lat, a każdą chwilę życia z gotowością oddawał sprawie. Szczególnie my, młodzież, ponieśliśmy głęboką stratę: utraciliśmy w Nim przyjaciela i dojrzałego kierownika.

Na porządek dzienny obrad Ligi Narodów wypłynęła dzięki Anglji sprawa

UCHODŹCÓW Z NIEMIEC.

By zabezpieczyć schronienie licznym, zmuszonym opuścić Niemcy, zostanie utworzona międzynarodowa organizacja, której zadaniem będzie przesiedlać ich do innych państw. Już rozpoczęto interwenjować u rozmaitych państw o współudział w tej akcji. Najważniejszym punktem, do którego skierowywać będą uchodźców — ma być Ameryka Południowa.

A już słychać o tem, że republika Ekwador (Ameryka Płd.) odstępuje 1,250.000 akrów ziemi pod osadnictwo żydowskie. Organizują się już komitety, których zadaniem jest przeprowadzenie tej akcji.

Smutne to, że w tak wielu punktach otwierają się wrota dla emigracji żydowskiej, a tylko w Palestynie ograniczenie aliji trwa bezustannie i mając swoją ziemię, musimy być zdani na gościnność dalekich nam krajów.

Poznajmy się!

LIST Z BRAZYLJI

Benek Seibel, członek plutonu Daganją (gdud III) w Krakowie, wyjechał niedawno do Brazylji. Zamieszczamy jeden z często nadchodzących od niego listów.

Rio de Janeiro, 6. czerwca 1935.

Dnia 4. czerwca przybyłem do Rio. Gdy przybijałem do brzegu, serce uderzało mi w przyspieszonem tempie, ale radość moja zmieszana była z goryczą. Ja, Żyd, wyjechałem z jednego kraju golusu i przybywam do drugiego. Z golusu w golus. Gorzka to ironja!

Podróż była niezmiernie ciekawa. Szczególnie ostatni wieczór. Na okręcie odbyło się pożegnanie. Na pokładzie obecny był kapitan i pierwszy oficer (wszyscy zebrani — to byli sami Żydzi).

Wzniesiono uroczysty toast na cześć kapitana okrętu, załogi. Potem kapitan rzekł:

„Chciałbym, aby Żydzi zaśpiewali".

Nim skończył, dały się słyszeć pieśni obce, o treści komunistycznej. Lecz sjoniści nie dali za wygraną. Jeszcze raz wznieśli toast. Wstali — i z piersi ich wybuchnęła Hatikwa. Kapitan i oficerowie, na dźwięki hymnu poderwali się na baczność i stali wyprężeni ze czcią. Zaśpiewaliśmy jeszcze Techezaknę i inne potężne pieśni.

Tyle na okręcie.

Nie jestem jeszcze zaaklimatyzowany w Rio. Nie znam języka, ani obyczajów, które tu są bardzo dziwne. Sprawa przedstawia się tu znacznie cięższej, niż się spodziewałem. Sjonistów lekceważą bardzo, a chłopcy żydowscy nie wiedzą nawet, co to jest Żyd. Ale dla mnie będzie to tylko bodźcem do pracy i myślę, że będzie można rozbudzić w nich dumę narodową, choć potrwa to bardzo długo. Nie mogę i tak zabrać się do roboty, aż nie poznam miasta i języka.

Binjamin.

Wydawca: Związek Skautowej Młodzieży Żydowskiej w Krakowie.
Redaktor odpowiedzialny: Ignacy Nichthauser.
Drukarnia Pospieszna pod zarz. A. Lehrhafta, Kraków, Pl. Dominikański 1